6

Cena numeru 10

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok [illegible] 1 styczeń 1947 Nr 1(21)

NAJWYZSI DOSTOJNICY RZECZPOSPOLITEJ ZOSTALI UMIESZCZENI NA PAŃSTWOWEJ LIŚCIE WYBORCZEJ



Rys. WŁADYSŁAW DASZEWSKI

Rocznik 1947

LUDWIK JERZY KERN

WIERSZ NOWOROCZNY

Mój praredaktor, zanim stworzył
wiersz taki jak ten, noworoczny,
to wpierw binokle na nos włożył,
(bo był zazwyczaj krótkowzroczny)
potem nastrajał się lirycznie,
sentymentalnej szukał nuty,
oczami błądził fantastycznie
i tak przewracał ślepia, póty
nie znalazł takiej allegorii,
z którą pomocą sjędesjekili
wiersz pełen „blasków" oraz „glorii"
i poetyckie minoderii,
(jakby przybosie o tym rzekli)
a szampan „czasu" i „historii"
w wierszu, jak w dwięcznym szkle się perlił...

Przestrzegał tedy praredaktor
damy rozliczne w wieku sile,
że się zalicza do nietaktu
puszczanie się automobillem.
I dawał w związku z Nowym Rokiem
rady rozmaite, te i nie te
i wierszem straszył, jak wyrokiem —

... Potem raz jeszcze sprawdzał okiem
i do drukarni wiersz oddawał,
a sam w szantany się udawał,
by na Sylwestra być z baletem...

Po nim, naturalnie, inni przyszli,
a każdy pisał według mody.
Według współczesnych sobie myśli
zdobił swych rymów korowody.
Item tak samo ja skolei
przejąłem po nich onże spadek
by roczny wstępniak o nadziei
pisać, jak praredaktor — dziadek.
Jednakże widząc jak to rady
dawane zwykle z Nowym Rokiem
wyprowadziły świat na dziady
tak zwanym faux pas (mylnym krokiem),
postanowiłem: precz z radami!
Niech ludzie radzą sobie sami!

Bo cóż tu radzić? Praredaktor
damom odradzał automobili,
a ten tymczasem siłą faktu
wszystkie ulice dzisiaj zdobi.
Więcej, bo jeśli dziś go ma kto,
to wozi łebków i zarobi.

Więc gdybym teraz chciał tak samo
przestrzegać, bliźnich z Rokiem Nowym
przed złośliwością rud uranu,
(prima artykuł atomowy)
to mógłbym być za lat pięćdziesiąt
śmieszny, jak bard łędesjeklowy...

Szkoda gadania. Choć to modnie
niech nas nie peszy owo rudzko.
O ile prościej i wygodniej
zacząć nareszcie wierzyć w ludzkość.

* * *

Odwaliliśmy, obywatele, przydzieloną na kartki kalendarza ilość dni, z których mało który nie upamiętnił się podniosłym obchodem, akademią lub conajmniej jubileuszem; tygodni, z których tylko nieliczne umknęły tak popularnego u nas połączenia z „kwiatkiem"; miesięcy, z których bodaj co drugi „zapisał się" dużą literą M ku czci Odbudowy, Zagospodarowania lub Czystości i Deratyzacji — i oto wchodzimy w Rok Nowy.

* * *

Cyfra: 1947 nie jest zdaje się, magiczna, tym nie mniej mamy prawo przywiązywać do niej uzasadnione nadzieje i pomyślne horoskopy. Przede wszystkim — jak to gdzieindziej zauważa przy pomocy rysunku Mały Kazio Grus — Nowy Rok występuje pod znakiem lewego sierpowego. „Cios" ten ma kolosalne znaczenie, jeśli chodzi o uporządkowanie ringu europejskiego i światowego. Gwoli sprawiedliwości oraz z powodu, że „de mortuis nil nisi bene", należy stwierdzić, że lewym sierpowym próbował się boksować i nieboszczyk 1946. Osiągnął nawet tu i ówdzie pomyślne rezultaty, przecież jednak meczu nie wygrał. Wypunktował np. de Gaulle'a, ale zostawił na ringu Franco i Schumachera. Przeszkodzili mu w tym sędziowie, osłaniający flagą angielską i amerykańską obu wyżej wymienionych przeciwników całego, pragnącego pokoju świata. Należy przypuszczać, że młody, tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy zapaśnik kalendarzowy nie da się mamić żadną zasłoną i wykończy Franco i Schumachera nie na punkty, które można rozmaicie liczyć, ale przez faktyczny i definitywny k. o. Oczywiście, nim to załatwi czeka go szereg uporczywych rozgrywek z rozmaitymi bokserami z międzynarodowego „Klubu III-ej wojny", z którymi walka jest trudna, gdyż liczą na swoją ciężką, atomową wagę.

* * *

Jedna z tych rozgrywek odbędzie się wkrótce na naszym krajowym ringu. Wybory do Sejmu, które będą miały miejsce na początku 1947 roku, dają nam okazję do wzięcia udziału w zapasach o pokój. Uważajmy, aby znokautować tych, którym on jest niemiły! — Zważywszy, że wybory nie będą sędziowane przez sekundantów Schuhmachera — nic nie stoi na przeszkodzie zwycięstwu.

Rok 1947 — za pośrednictwem wyborów — zadecyduje o naszym bycie. Lecz nietylko o bycie. Rok ten przecież jest pierwszym z tak zwanych lat tłustych, zagwarantowanych przez autorów Planu Trzyletniego. Dotyczy więc i naszego dobrobytu. Dlatego dni, tygodnie i miesiące 1947 roku będziemy inaczej liczyli, niż dotąd.

* * *

Jeżeli chodzi o bliższe szczegóły co do przyszłości kalendarzowej, to po roztoczeniu pewnego horyzontu (jak wyżej) dosyć, tak się nam wydaje, pomyślnego — życzymy Wam, P. T. Czytelnicy, abyście się udali do intuicjonistki Saby lub proroka Pyffello czy innych asów jasnowidztwa, których w Polsce doprawdy jest pod dostatkiem.



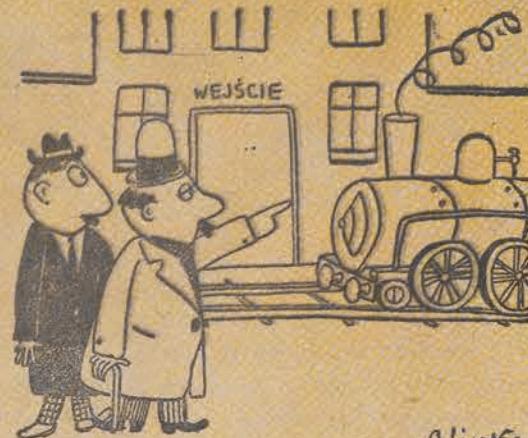
Rys. Alinka

— Tak hrabino! Czytałem w „Głosie Ludu", że my arystokracja jesteśmy zerem w obecnym ustroju. Dlatego będę głosować na 0!



Rys. Alinka

— Jak spędziłaś tegoroczne święta?
— Normalnie, z marchewką i kartoflami.



Rys. Alinka

— Nie mogę tylko tego zrozumieć, w jaki sposób buduje się stację akurat w tym miejscu, gdzie się pociąg zatrzymuje!

LEON PASTERNAK

Rozważania sceptyczne nad sumieniem świata

Temat ten już nikogo
tu nie weźmie, nie wzruszy,
skołatana Szwajcaria
wojny ma już po uszy.

Wyżej dziurek od nosa
ma tej abrakadabry:
wschodniej martyrologii
i tej polskiej makabry.

Owszem,był na to sezon
nad uroczym Lemanem,
lecz i geszeft był kiepski
i źle było widziane...

Więc już tylko dzieciaki
z łaski karmi się głodne,
lecz i to trwa za długo,
no, i nie jest już modne.

Sezon był. Na Majdanku
forsę zbili macherzy,
lecz, po prawdzie, w te bujdy
nikt na serjo nie wierzył.

So kto gada na Niemców,
to nań patrzy się krzywo.
Większość przecież chodziła
z Niemiaszkami na piwo.

Dziś znów byłe eSeSy
chodzą tu na wycieczki,
skryli się w bankach bezpiecznie
kapitalik niemiecki.

Pewna część tej monety
pozostanie w Szwajcarii,
za przyrządy optyczne
precyzyjne zegary i

za kunsztowny zapalnik
do pocisku i bomby,
która jeszcze niedawno
biła w Moskwę i Londyn...

Reszta zaś niech się dalej
procentuje spokojnie.
Przecież świat się nie skończył
na ostatniej tej wojnie...

Genewa, wrzesień, 46 r.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

ZĄB

Zygmuś nie lubił wyrywania zębów. Nic dziwnego: kto to lubi?

Ile razy ząb go zaczął boleć, Zygmuś postanowił wybrać się do dentysty.

— Wyrwę to zębisko, będę już raz miał spokój.

Lecz nim doszedł do dentysty, wstępował na jednego dla dodania sobie odwagi. Ponieważ w knajpie zawsze trafiał na jakiegoś koleżkę, zwierzał mu się z celu wyprawy i razem popijali „raz na ząbek". Mówi się, że w przedpokoju dentysty ból zęba ustaje. Zygmusiowi ustawał znacznie wcześniej bo już w drodze.

Kończyło się na tym, że ząb pozostawał na swoim miejscu.

Taka kolejność rzeczy powtarzała się przez dłuższy czas.

— Zabawny ząb — mówi do żony — ani rusz nie chce mnie opuścić.

Jednak w najbardziej nieodpowiedniej chwili ząb dawał znać o sobie. Nadchodziły Święta, w sam dzień wigilijny rozbolał go ząb.

— Będę miał całe Święta zepsute, jeśli go teraz nie dam sobie wyrwać — powiedział Zygmuś i wyruszył do dentysty.

— Tylko pamiętaj, nie wstępuj po drodze na wódkę, bo znowu wrócisz z zębem — prosiła go żona, gdy wychodził.

— Żona dobrze mi radzi. Trzeba jej posłuchać — rozmyślał Zygmuś po drodze — a jeśli nie golnę sobie jednego, to nie dam sobie wyrwać zęba za żadne skarby.

Zrobił zatem inaczej, kupił flaszczynę i nie oglądając się za siebie, pomknął do dentysty.

Dentysta obejrzał ząb, bardzo mu się podobał: w sam raz do wyrwania.

Przygotował narzędzia, a Zygmuś dłonią o dno i — plum — korek wyleciał aż pod sufit.

— Cóż to, pan tutaj z flaszką przyszedł? — zdumiał się dentysta.

— Jeśli mam być szczery, to z flaszką — i Zygmuś wylał ze szklanki wodę, którą dentysta mu przygotował, a nalał sobie wódki.

— Pan daruje, ale to jest u mnie nie praktykowane...

— Daruję, ale jeśli nie wychylę tej odrobiny alkoholu, to ząb zostanie u mnie.

Nagle zobaczył na stoliczku jakąś pustą szklaneczkę dentystyczną.

Napełnił ją.

— A może by tak pan doktór, co? Dentysta przyjrzał się pod światło, uznał widocznie, że posiada przepisaną przejrzystość, bo wychylił razem z pacjentem.

— Przyznam się panu, że takiego pacjenta jeszcze nie miałem.

— A widzi pan? To może jeszcze po jednym? Tylko po jednym. Będzie się nam lepiej rwało.

Dentysta uznał za stosowne sprokurować jakąś zakąskę. W niedługim czasie pacjent siedzący na krześle dentystycznym i krzątający się koło niego dentysta byli już po imieniu, pusta flaszka stała obok fotela, a z drugiej flaszki, po którą posłał dentysta, obaj przelewali zawartość do szklaneczek.

— Taką czuję teraz energię — zawołał dentysta — że gotów jestem ci wyrwać wszystkie zęby.

— Rwij, kochany! — ucieszył się humorysta.

— Który naprzód?

— Który ci się żywnie podoba,

— To może ten kiełek?

— Rwij kiełek.

— Albo tego gałgana trzonowego? Ząb jak dąb.

— Rwij, bracie, gałgana.

— Hm, tylko, że on jest zupełnie zdrowy.

— Co ci szkodzi? Twój ząb? Ja dla ciebie, aniele, co tylko zechcesz.

Dentysta uzbrojony w narzędzia manewruje mu koło twarzy, trafić nie bardzo może, wreszcie się dobrał do zęba, ale Zygmuś chciał nalać nowe szklaneczki, w czym mu dentysta wybitnie przeszkadzał, przeglądając całe uzębienie.

Humorysta nagle się zezłościł.

— Ty, odczep się wreszcie od mojej szczęki!

— Zęba muszę ci wyrwać — upierał się dentysta.

— Coś się ty uwziął na mojego zęba? Niech sobie będzie.

— Wyrwać muszę.

— Toś ty taki? Ja do ciebie z sercem, a ty mnie chcesz zębów pozbawiać?...

— Zygmusiu — dentysta rozczulił się — przebacz mi...

Ręce rozłożył i błagał o przebaczenie.

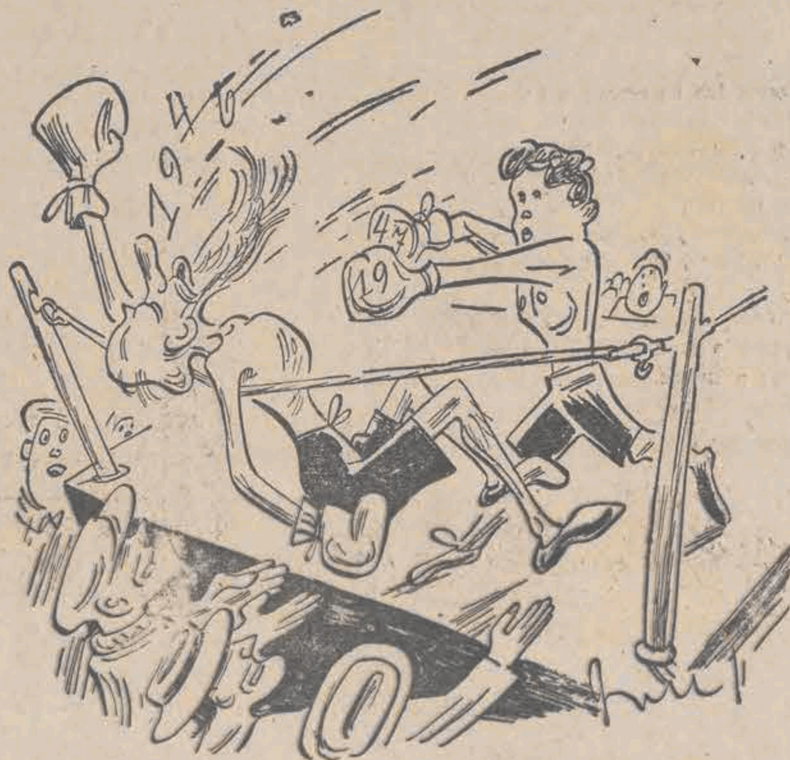
— Zapomnijmy o tym — powiedział humorysta wspaniałomyślnie.

Ucałowali się jak ludzie, którzy wybaczają sobie wszelkie urazy i dentysta zaproponował:

— Wiesz co? Zamknijmy budę i chodźmy na jednego.

Wziął humorystę pod ramię i wyszli na miasto rozradowani i swobodni.

ROK 1947 POD ZNAKIEM ZWYCIĘSTWA DEMOKRACJI



Rys. Kazimierz Grus

Lewym sierpowym

WITOLD ZECHENTER

RENESANS SZEKSPIRA

Od pewnego czasu daje się zauważyć w naszej literaturze współczesnej wielkie zainteresowanie Szekspirem (t. zw. naukowo Shakespearem). Co raz to dowiadujemy się, że inny z naszych znakomitych pisarzy tłumaczy nieśmiertelne dzieła angielskiego dramatopisarza. Przekłady te odkrywają coraz lepiej głębie myśli, zalety formy, ideologie wielkiego twórcy, który coraz więcej wydaje się nam przez to być bliższym naszej epoce wielkich i radosnych przemian.

Dowiedzieliśmy się — o czym spieszymy z radością zakumunikować naszym czytelnikom — że arcydzieło Szekspira „Hamlet" przekładane jest obecnie przez Wadysława Broniewskiego, Juliana Przybosia, Tadeusza Peipera i Wiecha. Udało się nam zdobyć fragmenty tych przekładów, podajemy więc poniżej początek słynnego monologu Hamleta (akt III, scena 1) dla porównania poprzedzając wyjątki nowych tłumaczeń dawnych, klasycznym już przekładem L. Ulricha (wedle wydania z 1895 roku).

PRZEKŁAD L. ULRICHA:

Być albo nie być, oto jest pytanie.
Czy dla umysłu szlachetniej jest cierpieć
Ciosy i strzały zawistnej fortuny,
Niż broń uchwycić przeciw cierpień morzu,
Skończyć je walką? Umrzeć — spać — nic więcej!
Powiedzieć, żeśmy snem mogli zakończyć
Boleści serca, tysiączne wstrząśnienia,
Których dziedzicem ciało! O ten koniec
Któżby nie błagał pobożnie?

PRZEKŁAD TADEUSZA PEIPERA

B—b—być? Albo albo albowiem albatros czy
dla umysłu czy dla umysłu czy dla umysłu czy dla
i
Niż broń niżej broń. Broń się niżej Broń Bronia
Umrzeć — spać — pać — ać — ć —
Powiedzieć, żeśmy — — —
— — — — tysiączne 1000
O! ten koniec!
O ten koniec któżby nie błagał łagał agał gał.

PRZEKŁAD WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO

Być czy nie być — ach, to jest pytanie!
Czy uginać się, jak każe los,
czy zwycięskie wyprężyć swe ramię
i odeprzeć w walce każdy cios?
Nie umierać! Nie spać, towarzysze!
Nam już serca nie ukoić snem!
Ciało więcej już nie jest dziedzicem!
Już ten okres wybłagał nowy dzień!

PRZEKŁAD JULIANA PRZYBOSIA

Albo oto
dla cierpień
i fortuny
niż uchwycić morzu
je umrzeć? Spać nic
żeśmy zakończyć
serca
których! O
któżby?

PRZEKŁAD WIECHA

Być albo odbyć frajerskie pitanko!
Czy facet w umysł szarpany ma cierpieć
pieskie niebieskie strzałki fortuniaka,
czy jeim w kąty postawić rodzinkie
w morde nakuć? Spać ci się chce, ścierwo?
Łachudra! nagłym snem chciałby zakończyć
boleści piwskiem ochlanej wątroby!
cholery dziedzic za koniec szarpany
tam i z powrotem w kiszonej kapuście!

Jak dowiadujemy się, przekłady „Hamleta" ukażą się wkrótce nakładem jednej z największych naszych spółdzielni wydawniczych.

JAN ŚPIEWAK

PEWIEN SATYRYK

Satyryk jest zmęczony. Satyrykowi spać się chce, ale musi napisać artykuł. Obiecał, przyrzekł. Ale, o czym?

Wszystko już zna na pamięć. Ostatnio sporządził specjalny kalendarzyk. Na każdy dzień inny temat. Otwórz szufladę — patrz — leżą w porządku alfabetycznym, jak należy: polityka wewnętrzna, zagraniczna, drobne docinki, humoreski. Grzeczne, uszeregowane. Tylko, że i ta metoda zawiodła, tematów zabrakło.

— Wszystko już było — pomyślał satyryk, zerknąwszy na „politykę wewnętrzną" — Bardzo ciężko o niej pisać.

Znał wszystkich i większych i mniejszych, przecież to: Bolek, Stefan, Józek. Obrażą się. A szkoda. Sympatyczni faceci. I w ogóle nie wiadomo, jak i kiedy. Nie warto.

Może poruszymy miejskie sprawy. Znowu Bolek, Józek, Stefan. Obrażą się. Nie warto.

Obyczajowe. O kim, o czym? I znowu o przygodzie muchy na poetyckim stole, czy też o kumoszkach kawiarnianych. Nudne.

Otworzył rubrykę „polityka zagraniczna". — Las. Puszcza. Zbłądzisz jeszcze gorzej, aniżeli w wewnętrznej polityce. Potkniesz się o pień, wyskoczą armaty. Pomyślisz — leśne jagody, a to bomba atomowa w twej dłoni. Okropne.

Do niedawna pisał o trupach. Mussolini, Hitler. konferencja pokojowa, ale po mowie Byrnesa zastanowił się. Spojrzał na pokój. Tylko jedno w nim krzesło, na drugie nie można się przesiąść. Postanowił na drugi dzień kupić sobie parę. Na każdy wypadek. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. I pomyślał: — „satyra prawdę mówi, względów się wystrzega", ale o czym pisać i jak?

Nareszcie przypomniał sobie. Bajka, fantazja, podróże nad, po, obok. I satyrycznie i fantastycznie i nikt nic nie zrozumie. Bardzo dobry temat. Mlasnął z przyjemnością językiem.

Tu zmieszczą się wszystkie rodzaje broni poetyckiej i żadna w cel nie trafi. Będzie to coś w rodzaju fajerwerku, iluminacji.

Można z humorem, z docinkami, z sentymentalną łezką. Można przestraszyć mieszczuchów zjawami cwanych kościotrupów, brzęknąć aforyzmem i schronić się za parawanem humoru.

Wykalkulował: dwie bajki tygodniowo, parę nowel, powieść tygodniową, ciąg dalszy nastąpi, sztuka, konto w banku.

Marzył: — order — prawdziwy order, za odwagę i wynalazczość, to też nie lada wyczyn obywatelski.

Satyryk śmiało schwycił za pióro i... zasnął.

I to jest bajeczka maleńka taka. Ale to przecież nie prawda. Satyryk nie zasnął, czuwa z wyostrzonym piórem. Niestety w pozycji leżącej.

A czytelnik domoga się — chce śmiać się — niechaj słowa zwyczajne, codzienne, słowa od człowieka do człowieka rozjaśnią oczy. Bardziej ludzkie, bardziej człowiecze.

JAN CZARNY

FRASZKI

SPOSÓB

Chcesz mieć arbitra?
Postaw pół litra.

NAPIS U FRYZJERA

„Wieczna Ondulacja"
(dla przemijających facjat)

SENTENCJA

Najszersza brama
wąska dla chamà.



Rys. Kazimierz Grus

JANUSZ FUKS

Sposób na pokój

Leżąc w łóżku czytałem przed zaśnięciem „Picture Post". Znalazłem tam wywiad ze słynnym gen. Smutsem. Oto urywek z tego wywiadu:

„Między hrabstwem Yorkshire i Lancashire była niegdyś wojna. Ale ich konferencja pokojowa nie trwała tak długo jak nasza. Po prostu odbyło się wesele między młodą osobą z Lancashire i jednym młodym człowiekiem z Yorkshire. I to wszystko. Szkoda, że my nie możemy urządzić czegoś w tym rodzaju."

Rozmarzyło mnie to. Już widzę jak by to było: Sala obrad Konferencji Pokojowej. Okrągły stół. Dookoła eleganccy panowie we frakach. Dyplomaci gorąco rozprawiają między sobą. Lecz kogóż to widać wśród nich? Kim jest np. ten przystojny pan, siedzący obok przedstawiciela Francji? Czy to rzeczoznawca militarny, ekonomista, czy też radca prawny? Nie, to słynny Antoine, mistrz fryzury. A obok delegata amerykańskiego widać słynnego specjalistę od piękności hollywoodskich.

Przemawia akurat jeden z przedstawicieli państw zwyciężonych.

— Panowie! Uważam, że warunki pokojowe są zbyt srogie dla naszego państwa. Zgodzilibyśmy się już na wydanie zamąż dwóch córek naszego króla, siostry i córki premiera oraz sześciu córek naszych ministrów za synów prezydentów, królów, czy też ministrów państw zwycięskich. Jednakże nowe żądania przedstawiciela Hondurasu, w sprawie wydania zamąż jednej z naszych księżniczek za brata premiera Hondurasu, uważam za nadmierne. Warunki podyktowane nam i bez tego nie są łagodne. Wydając zagranicę kwiat naszych kobiet znajdziemy się w bardzo ciężkiej sytuacji matrymonialnej. Pozatym nie sądzę, że Honduras brał taki udział w wojnie, by żądać od nas aż tak dużych reparacji.

Delegat Hondurasu zrywa się z miejsca.

— Protestuję przeciwko zezwalaniu przedstawicielom państw pokonanych na podobne wystąpienia. Honduras, którego dwunastu obywateli bohatersko zginęło na polu chwały, przyczyniając się do zwycięstwa, ma pełne prawo domagać się zadośćuczynienia. Poza tym sądzę, że nie tylko ilość reparacji, lecz i jakość ich odgrywa rolę. A przecież wszystkie te księżniczki i królewny są, że tak powiem, brzydkie.

Znów wstaje delegat państwa pokonanego.

— To nieprawda! Nawet rzeczoznawcy państw zwycięskich przyznają wysoką klasę piękności naszych kobiet. Siedzący tu Mr. Cherleston z Hollywood w swoim czasie oświadczył, że nasza księżniczka Hjacynta należy do dziesięciu najpiękniejszych kobiet na świecie.

— Nonsens! Nieprawda!

— A właśnie, ładna!

— Brzydactwo!

Na sali robi się ogólne zamieszanie. Przewodniczący z trudem uspakaja dyplomatów. Wstaje delegat Porto Rico.

— Proponuję, by sprawę załatwić kompromisowo i utworzyć komisję, która zajmie się zbadaniem urody księżniczki Hjacynty.

Oklaski.

O głos prosi przedstawiciel Australii:

— Wnoszę poprawkę. Uważam, że oprócz komisji należy też odrazu powołać kilka podkomisji dla oceny piękności oczu, włosów, ust i td. księżniczki Hjacynty. Sprawę moim zdaniem, należy zbadać gruntownie!

Po dłuższej debacie wniosek Porto Rico zostaje przyjęty bez poprawki australijskiej.

Wstaje przewodniczący.

— A teraz przejdziemy do drugiego punktu porządku dziennego. Głos ma delegat Meksyku.

— Chciałem zwrócić uwagę Wysokiego Zgromadzenia — mówi przedstawiciel Meksyku — na sytuację w Sjamie. Wiadomo, że do podpisania traktatu pokojowego ze Sjamem, na dworze królewny sjamskiej znajdował się przedstawiciel rządu nowozelandzkiego. Obecnie jednak mimo, iż na podstawie traktatu królewna została wydana zamąż za syna premiera Tuwinii, to jednak przedstawiciel nowozelandzki nadal przebywa przy niej. Uważam to za sprzeczne z zasadą suwerenności małżeńskiej.

Odpowiada delegat Nowej Zelandii:

— Chciałem wyjaśnić, iż przebywanie brata naszego premiera na dworze królewny sjamskiej nie jest żadnym naruszeniem suwerenności, gdyż sama królewna zwracała się do niego prośbą o przedłużenie pobytu.

— To nieprawda!

— Możemy przedstawić dowody.

Po dyskusji zebrani uchwalają powołać komisję, celem zbadania tej sprawy.

— Pozostała nam do omówienia kwestia zatargu między Kochinchiną a Liberią — ogłasza przewodniczący — Kochinchina wypowiedziała wojnę Liberii, gdyż księżniczka liberyjska Mea, żona premiera kochinchińskiego, zdradziła swego męża z liberyjskim ministrem.

—Należy zastosować sankcję — odzywa się delegat chilijski — Najbardziej radykalne! Proponuję odciąć dowóz szminek i pudrów do Liberii.

— Nie można tak odrazu — protestuje przedstawiciel Australii. Nie wiadomo, kto jest winien i kto był stroną agresywną.

— A ja popieram wniosek delegata Chile — zabiera głos minister nigeryjski — Nie możemy dopuścić by stawiano męża wobec fait accompli! — minister huknął pięścią w stół.

...Obudziłem się. Sąsiad mój walił w ścianę, bym wstawał do pracy.

MARIAN PIECHAL

Piosenka reakcjonisty

Pojechałbym do Londynu,
lecz tam już nie lubią Andersa —
mgła Londynu przyczyną spleenu
u mnie et vice versa.

Pojechałbym do New-Yorku,
do yankesów, tych od businesów —
lecz w New-Yorku ciemno jak w worku
od wystąpień różnych Wallace'ów.

Pojechałbym do Paryża,
lecz pozbyć nie mogę się mola:
za dużo wrogów jest „Krzyża"*)
za mało przyjaciół de Gaulle'a.

Pojechałbym do Hiszpanii
nad Gwadalkwiwir lub Ebro —
lecz Franco: dyktator do bani,
cacka się, miast wrogów pod żebro...

Pojechałbym też do Grecji,
Grecja do łez rozczula —
lecz zbyt wiele tam krwawej hecy,
a wsio z nienawiści do króla.

Pojechałbym — ach! — do Rzymu,
lecz cały lęk leży w tym:
że dla mnie Rzym, to był régime,
a régime się rozwiał jak dym.

Zostanę więc w kraju. Boć przecie
pocóż wyjeżdżać, mój Boże,
gdy u nas jak wszędzie na świecie
nie lepiej — lecz także nie gorzej...

*) „Ognisty Krzyż" — francuska organizacja faszystowska.

* * *

— Ty ziewasz! — mówiła żona do męża.

— Moje dziecko — odparł — mąż i żona to jedno, a ja kiedy jestem sam, nudzę się.

* * *

Pewien szlachcic spędzał od trzydziestu lat wszystkie wieczory u pani de... Wśród tego owdowiała. Sądzono, że się ożeni z tamtą i zachęcano go do tego. Odmówił:

— Nie wiedziałbym — rzekł — gdzie spędzać wieczory.

* * *

Atakowano opinię pewnego pisarza o jakimś dziele, przeciwstawiając mu odmienny sąd publiczności.

— Publiczność, publiczność? — rzekł. — Ilu trzeba głupców, ażeby stworzyć publiczność!

* * *

Zbierano składkę w Akademii Francuskiej. Brakowało talara czy też ludwika. Jednego z akademików, znanego ze skąpstwa, posądzono, że nie dał składki. Twierdził, że dał. Ten, który zbierał, rzekł:

— Nie widziałem, ale wierzę.

Pan de Fontenelle zakończył dyskusję, mówiąc:

— Ja widziałem, ale nie wierzę.

* * *

— Szczęście — powiadał N. — nie jest rzeczą łatwą. Bardzo trudno jest znaleźć je w sobie, a niepodobna gdzieindziej









Rys. Kazimierz Grus

A. CZECHOW

MĄŻ

Ilustrował ZENON WASILEWSKI

N-ski pułk kawalerii, maszerując zatrzymał się na nocleg w powiatowej mieścinie K. Takie wydarzenie jak nocleg pp. oficerów zawsze działa na obywateli podniecająco i pobudzająco. Sklepikarze marzą o wyzbyciu się zjełczałej kiełbasy i „najlepszego gatunku" sardynek, które leżą na półkach od dziesięciu lat; knajpiarze i inni przedsiębiorcy nie zamykają swoich zakładów przez całą noc; dowódca wojskowy miejscowego garnizonu, jego adiutant i inni oficerowie wkładają najlepsze mundury; policja krząta się po ulicach jak oparzona, z paniami zaś dzieje się diabli wiedzą co!

Panie te, usłyszawszy o zbliżaniu się pułku, porzuciły gorące rondle z konfiturami i wyległy na ulice. Zapomniawszy o swoich dezabilach i potarganych fryzurach, ciężko oddychając, z zamierającymi sercami, spieszyły na spotkanie pułku i chciwie wsłuchiwały się w dźwięki marsza. Patrząc na ich blade, natchnione twarze, możnaby było sądzić, że dźwięki te płyną nie z żołnierskich trąb, lecz z nieba.

— Pułk! mówiły z radością w głosie — Pułk idzie!

I po co im był ten nieznany, niespodziewanie przybyły pułk, który dnia następnego, o świcie, opuści mieścinę?

Kiedy niebawem pp. oficerowie, stojąc z założonymi rękami pośrodku placu miejskiego, zastanawiali się nad sprawami kwaterunkowymi, wszystkie panie, siedząc w mieszkaniu sędziny, na wyścigi krytykowały pułk. Wiedziały już, Bóg wie skąd, że dowódca jest żonaty, lecz z żoną nie żyje; żona rotmistrza co roku rodzi martwe dzieci; że adiutant jest beznadziejnie zakochany w jakiejś hrabinie i nawet raz targnął się na swoje życie. Wszystko im było wiadome. Kiedy pod oknami mignął dziobaty żołnierz w czerwonej koszuli, wiedziały doskonale, że to jest ordynans podporucznika Rymzowa, który biega po mieście w poszukiwaniu dla swego pana na kredyt angielskiej gorzkiej. Oficerów widziały mimochodem i nie twarzą w twarz, lecz od tyłu, jednakże orzekły, że wśród nich nie ma ani jednego przystojnego i interesującego. Nagadawczy się, wezwały do siebie dowódcę oraz kierownika klubu i nakazały im za wszelką cenę urządzić taneczny wieczór.

Żądanie ich było spełnione. O dziewiątej wieczorem na ulicy przed klubem grzmiała wojskowa orkiestra, w klubie zaś p. p. oficerowie tańczyli z paniami. Panie poczuły się jakby naraz dostały skrzydeł. Upojone tańcami, muzyką i brzękiem ostróg, całą duszą oddały się przelotnej znajomości, zapominając zupełnie o cywilach. Ich ojcowie i mężowie usunięci na ostatni plan, tłoczyli się w hallu koło mizernego bufetu. Wszyscy ci płatnicy, sekretarze i inspektorzy, zmęczeni, hemoroidalni i workowaci panowie, doskonale zdawali sobie sprawę ze swego ubóstwa i nie wchodzili do sali, lecz z daleka popatrywali jak ich żony i córki tańczą ze zgrabnymi i strojnymi porucznikami.

Między mężami znajdował się urzędnik akcyzy Kirył Pietrowicz Szalikow, istota pijana, ograniczona i zła, o dużej ostrzyżonej głowie i tłustych obwisłych wargach. Niegdyś był on na uniwersytecie, czytywał Pisarewa i Dobrolubowa i śpiewał piosenki, obecnie zaś mówił sobie, że jest kolegialnym assesorem i niczym więcej. Stał oparty o drzwi i nie spuszczał oczu ze swej żony. Żona zaś jego, Anna Pawłowna, maleńka brunetka, trzydziestoletnia, długonosa, z ostrym podbródkiem, wypudrowana i ściśnięta gorsetem, tańczyła bez wypoczynku, do upadłego. Tańce wyczerpywały ją, lecz zmęczone miała tylko ciało, a nie duszę... Cała jej postać wyrażała zachwyt i rozkosz. Pierś jej falowała, na policzki wystąpiły czerwone rumieńce, wszystkie jej ruchy były omdlewające i posuwiste. Widać było, że tańcząc,



przypominała sobie minione czasy, te dawne czasy, kiedy tańczyła będąc w instytucie i marzyła o rozkosznym, wesołym życiu i była pewna, że mężem jej zostanie bezwzględnie baron lub książę.

Urzędnik akcyzy patrzył na nią i żymał się ze złości... Zazdrości nie czuł, lecz było mu nieprzyjemnie po pierwsze, że dzięki tańcom nie było miejsca na grę w karty; po drugie, że nie znosił dętej orkiestry; po trzecie, że jak mu się zdawało, p.p. oficerowie nonszalancko i z góry traktowali cywilów, a po czwarte, co najważniejsze do najwyższego wzburzenia doprowadzał go wyraz rozkoszy na twarzy żony...

— Wstręt bierze, gdy się na to patrzy! — burczał — Wkrótce będzie miała czterdzieści lat, ni to z pierza ni z mięsa, a patrzcie — wypudrowała się, wyfiokowała, gorset włożyła! Kokietuje! Kryguje się i myśli, że jej z tym do twarzy... Ach, jaka piękność!...

Anna Pawłowna tak się zapamiętała w tańcu, że ani razu nie spojrzała na męża.

— Oczywiście, cóż my, prostacy znaczymy! — szydził urzędnik akcyzy — Obecnie, jesteśmy poza etatem... My, foki, powiatowi niedźwiedzie, a ona królowa balu! Przecież tak dobrze się



zachowała, że nawet oficerowie mogą się nią zainteresować. Kto wie, może się nawet któryś zakocha.

Gdy tańczono mazura, twarz urzędnika akcyzy wykrzywiła się ze złości. Z Anną Pawłowną tańczył oficer, brunet o wytrzeszczonych oczach i tatarskich wystających kościach policzkowych. Wywijał nogami z powagą i uczuciem, przybierając srogi wyraz twarzy i tak wykręcał kolana, że podobny był do pajaca, którego pociąga się za nitkę. Anna Pawłowna blada, rozdygotana, przesadnie wygięta w talii, wywracając oczy usiłowała wyglądać tak jakby ledwo dotykała ziemi i widocznie zdawało się jej, że nie jest na ziemi, w powiatowym klubie, lecz gdzieś daleko, daleko — w obłokach! Już nie tylko twarzą, ale całym ciałem wyrażała rozkosz... Urzędnik akcyzy nie mógł już tego znieść. Zachciało mu się naraz wydrwić to jej rozmarzenie, dać w jakiś sposób żonie odczuć, iż się zapomniała, że życie bynajmniej nie jest takie piękne, jak jej w tym upojeniu teraz się wydaje.

— Zaczekaj, ja ci pokażę, co to znaczy uśmiechać się rozkosznie — mruczał — Nie jesteś panienką z instytutu, dziewczynką! Stare pudło powinno pamiętać, że jest tylko starym pudłem!

Niskie uczucia zawiści, złości, poniżonej ambicji, drobnej powiatowej niechęci do ludzi, owej niechęci, której ulegają drobne urzędniczyny na skutek pijaństwa i siedzącego trybu życia, zaroiły się w nim jak myszy...

Doczekawszy się końca mazura, wszedł na salę i zbliżył się do żony. Anna Pawłowna w tej chwili siedziała obok kawalera i wachlując się kokieteryjnie mrużyła oczy i opowiadała, jak niegdyś tańcowała w Petersburgu. Usta ściągała w ciup, kiedy mówiła: „U nas w Piutusburgu..."

— Aniuta, idziemy do domu! — zachrypiał mąż.

Ujrzawszy go przed sobą, Anna Pawłowna zrazu drgnęła, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że ma męża, po czym zalała się rumieńcem: było jej nieprzyjemnie, że ma takiego zapijaczonego, ponurego i przeciętnego męża.

— Idziemy do domu! — powtórzył urzędnik akcyzy.

— Dlaczego? Przecież jeszcze wcześnie!

— Proszę cię abyś poszła do domu! — powiedział małżonek, dobitnie rozdzielając sylaby i robiąc zły wyraz twarzy.

— Dlaczego? Co się stało? — zlękła się Anna Pawłowna.

— Nic się nie stało, tylko życzę sobie, abyś w tej chwili poszła do domu... Życzę sobie, oto wszystko i proszę bez zbytecznych rozmów

Anna Pawłowna nie bała się męża, tylko było jej wstyd przed kawalerem, który, zdziwiony, ironicznie spoglądał na urzędnika akcyzy. Podniósłszy się z krzesła, odeszła z mężem na bok.

— Co ci przyszło do głowy? — rozpoczęła — Dlaczego mam iść do domu? Przecież nie ma nawet jeszcze jedenastej.

— Tak chcę i basta! Bądź łaskawa pójść i koniec.

— Przestań gadać głupstwa! Idź sam, jeśli chcesz.

— No, to w takim razie zrobię skandal!

Teraz zauważył, że wyraz radości stopniowo znikał z jej twarzy. Jakżeż się wstydziła, jakżeż cierpiała! On zaś poczuł ulgę w sercu.

— Po co ja ci teraz jestem potrzebna? — spytała ona.

— Nie jesteś mi wcale potrzebna, tylko chcę, żebyś siedziała w domu Chcę i to wszystko!

Anna Pawłowna nie chciała nawet słuchać, później zaczęła błagać, aby pozwolił jej zostać jeszcze chociażby pół godziny; następnie sama nie wiedząc dlaczego, przepraszała go i zaklinała. Robiła to szeptem, z uśmiechem, żeby wśród publiczności nie pomyślano, że między mężem a nią doszło do nieporozumienia. Poczęła go zapewniać, że zostanie niedługo, tylko dziesięć minut, tylko pięć, ale mąż uparcie trzymał się swego.

— Jak chcesz, zostań, ale zrobię skandal!

Rozmawiając dalej z mężem, Anna Pawłowna oklapnęła, zmizerniała i zestarzała się. Blada, zagryzając wargi i omal nie płacząc, poszła do przedpokoju i zaczęła się ubierać.

— Dokąd pani? — zdziwiły się znajome — Anno Pawłowno, dokąd to pani kochanie?

— Głowa ją boli — odpowiedział za żonę urzędnik akcyzy.

Wyszedłszy z klubu, małżonkowie do samego domu szli w milczeniu. Urzędnik akcyzy szedł za żoną i patrząc na jej przygarbioną postać, przypomniał sobie jej zadowolenie, które go w klubie tak drażniło. Świadomość, że tego zadowolenia już niema, napełniała jego serce uczuciem triumfu. Cieszył się i był zadowolony, lecz jednocześnie czegoś mu brakowało. Miał chęć wrócić do klubu i zrobić coś takiego, aby wszystkim zrobiło się nieprzyjemnie i niesmacznie, aby wszyscy odczuli jak nikczemne i płytkie jest życie teraz właśnie, kiedy się idzie ciemną ulicą i słyszy się, jak pod nogami mlaska błoto, i kiedy się wie, że następnego dnia, gdy się człowiek obudzi, nie będzie nic oprócz wódki i kart. Och, jakież to straszne!

Anna Pawłowna ledwo szła... Będąc wciąż jeszcze pod wrażeniem tańców, muzyki, rozmów, blasku i gwaru, szła i zapytywała siebie, za co ją Pan Bóg tak skarał. Czuła gorycz, krzywdę i nienawiść, którym towarzyszyły ciężkie kroki męża. Milczała, starając się wymyślić jakieś najgorsze, najjadowitsze słowo, którym ugodziłaby męża, zdając sobie równocześnie sprawę, że jego, urzędnika akcyzy, nie wzruszą żadne słowa. Cóż znaczą dla niego słowa? Bardziej beznadziejnego położenia nie mógłby wymyśleć najgorszy wróg.

A orkiestra w tym czasie grzmiała i ciemności pełne były tanecznych, podniecających dźwięków.

przełożył: Kazimierz Truchanowski


Rys. Karol Baraniecki

TRZEJ KRÓLOWIE

LEONID ANDREJEW

Dramaturg

— Niech mi pan wierzy, pański dramat jest prześliczny, ale wie pan — warunki sceniczne.

Dramaturg: (ponuro): Zmienić?

— O to, to. Zakończenie, wie pan, tak troszeczkę zmienić. Tam umiera pani, taka solidna pani, nawet szkoda, jak Boga kocham... A niech pan zamiast jej uśmierci tę, no jak ją tam, tę...

Dramaturg: Obłąkaną?

— O to, to. Po diabła naprawdę. Pożyła sobie i dosyć.

Dramaturg: No, ale jakżesz ja ją tak ni stąd ni zowąd uśmiercę?

— Panie! Przy pańskim talencie...

Dramaturg: (myśli i ponuro coś oblicza na palcach. Na dziesiątym palcu zatrzymuje się i pyta). A, tego... pieniążków awansem pan by mi dać nie mógł.

— Ależ, ma się rozumieć, dostanie pan wszystko; po co o tym mówić, mój Boże! Tylko jeśli pan zgadza się uśmiercić tę, jak ją tam, do diabła, to (uderza się w kolano) panie tego, czyby nie można było tak całego piątego aktu wyrzucić.

Dramaturg: Wyrzucić?

—No, bo i pocóż to? Piąte koło u woza tylko. A propos i czyby nie można tytułu innego?

Dramaturg: Innego?

— I jeśli pan chce, żeby to było naprawdę arcydzieło, niech pan usunie zupełnie tego adwokata.

Dramaturg: z przerażeniem): Co? Bohatera?

— Ależ, jaki tam z niego bohater. Lalka porcelanowa i nic więcej... I niech pan urządzi także w pierwszym akcie pożar.

Dramaturg: Pożar?

— ... jaki ja wymyśliłem doskonały efekt sceniczny! Jakiż efekt! Trzydzieści lat można myśleć i nie wymyśli się. Ach, jaki efekt!

Biega po gabinecie i zatrzymawszy się przed lustrem, macha do siebie ręką. Oczy dramaturga rozpalają się. Zamyka lepiej drzwi, spuszcza draperie, przykręca lampę i szepcze:

Dramaturg: Niech pan mówi.

(szeptem): — W trzecim akcie bohaterka, jak ją tam, do diabła:: rodzi: (Ściska rękę). Ale rodzi na scenie.

Dramaturg:?!!!

— Tak, tak! I przytem trojaczki!

Dramaurg (szeptem): Ona jest niezamężna.

(Szeptem): — Nic nie szkodzi. Rozumie pan, rodzi za sceną, a tymczasem na scenie śpiew cygański: „Noce szalone", albo coś w tym rodzaju. A kiedy rodzi trzecie dziecko i, widocznie ma zamiar jeszcze, mąż jej...

Dramaturg (szeptem): Ona nie ma męża.

— A, do diabła! Co pan córkę, czy kogo wydaje! A więc mąż jej chwyta, się za włosy, porusza głową, o, w ten sposób, i mówi: „a masz doczekałaś sie. Albo nie, to będzie niezręcznie. Co by on takiego mógł powiedzieć? „Być albo nie być"... No, niechże pan wymyśli!

Dramaturg (zbity z tropu): Nie mogę.

Otrzymawszy obietnicę pieniędzy, dramaturg przychodzi do domu i siada do pracy. W trakcie tego gorzko płaczą: prawda, żona dramaturga, talent dramaturga, i rozmaici dostawcy dramaturga — kupcy drzewni, krawiec, sklepikarz. Piąty akt wyrzucony, staruszka uśmiercona, bohater adwokat pozbawiony praktyki, ale z połogiem nic nie może dramaturg poradzić.

W ten sposób zanosi.

— Panie kochany. I w tym tygodniu i w przyszłym sezonie wystawić nie możemy. Może tak za trzy, cztery lata.

Dramaturg: A co do tego... no, jakżesz to powiedzieć... w ogóle, jak jest przyjęte: pieniędzy?

— Panie kochany! Skąd? Rad bym z całej duszy...

Tu właściwie rozpoczyna się dramat.

AKT PIERWSZY

Stary urzędnik: Jeśli się nie mylę, pan jest dramaturgiem?

Dramaturg: Tak jest, Wasza Ekselencjo.

Stary urzędnik: E... czy pan już coś wystawiał?

Dramaturg: Pięć dramatów, Ekselencjo.

Stary urzędnik (mile żartuje): I wszystkie fiasko. E... niech pan zajdzie do urzędnika w średnim wieku.

AKT DRUGI

Urzędnik w średnim wieku: Hm... jeszcze dramat?

Dramaturg: Tak jest, Ekselencjo.

Urzędnik: Hm... że też panu chce się pisać, nie rozumiem! Niech pan zajdzie do młodego urzędnika.

AKT TRZECI

Dramaturg: (wyciągając ręce): Panie... pan jest dobry: żona, dzieci, dramat.

Młody urzędnik (zarzuca daleko głowę w tył, tak że widzi petenta między swymi nogami).

Jakiż pan natrętny. Powiedziałem, że przeczytam, to przeczytam.

Dramaturg: Ale przecież już cały rok...

Młody urzędnik: Ach, Boże! Pan myśli, że pan jeden? tysiące kochany, i wszyscy proszą. Trzeba być cierpliwym i... przyzwoitym. Do widzenia.

AKT CZWARTY

Pierwszy aktor: Tak, tak, oczywiście. Niech pan będzie spokojny.

AKT PIĄTY, SZÓSTY... PIĘTNASTY

Dziewiąty aktor: Tak, tak, oczywiście. Niech pan będzie spokojny.

AKT DWUDZIESTY PIERWSZY

Pierwszy aktor: Przepraszam. Skoro pan sobie pozwoli być ze swoim... drrramatem u Pocałunkiewicza 3-ego, ja, Drapalski 1-szy nic dla pana zrobić nie mogę. Przepraszam.

AKT TRZYDZIESTY DRUGI

Dziewiąty aktor: Przepraszam. Skoro pan sobie pozwolił być u tej świni, Drapalskiego 1-ego, ja, przepraszam...

Dziewiąty aktor: Przepraszam. Skoro pan sobie pozwolił byś u tej świni, Drapalskiego 1-ego, ja, przepraszam...

AKT TRZYDZIESTY PIĄTY

Antrepener: Pan z dramacikiem? Nie potrzeba.

Dramaturg: Dramat dobry.

Antrepener: Jaki temat?

Dramaturg (opowiada):

Antreprener: Przeróbka z kogo?

Dramaturg: Własny utwór. Oryginalny.

Antrepener: (z oburzeniem) Takie pa kudztwo i to jeszcze utwór własny! Nie potrzeba, idź pan sobie, idź. Za dużo się was tutaj włóczy. I wszędzie się wpakują! (zamyśla się i czeka).

APOTEOZA

Dusza pisarza chce się unieść w górę, ale jej nie puszczaję.

Głos z góry: A co zrobiłeś ze swym talentem? A co zrobiłeś ze swą duszą? W dole dostawcy trzymają go za nogi i krzyczą:

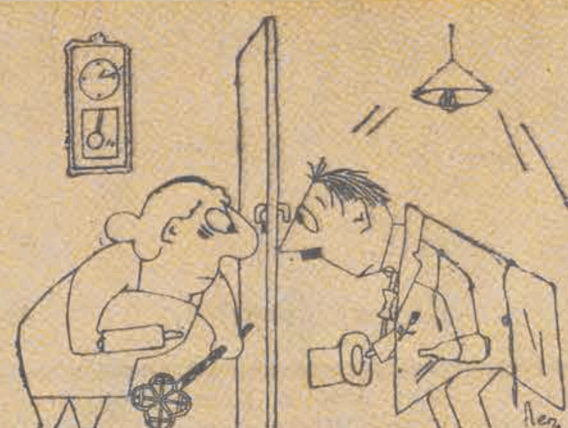
— Nie, przepraszam. Tak nie można — najwpierw rachuneczek proszę. Bo tak to każdy umierać zechce. Gdzie jest policjant? Panie policjancie, niech pan będzie łaskaw wejść w nasze położenie... Oto właśnie ten pan pod pozorem przeniesienia się do wieczności, a właściwie tylko skutkiem swej nikczemności i ciemnoty...

Policjant (beznadziejnie): Z powrotem go. Publiczność!

Przełożył **K. A. Jaworski**


Rys. Zygmunt Ulatowski

— Druga kartka za kolegę. Nie może przyjść, bo go właśnie zjadłem...


Rys. Jan Lenica

Noc Sylwestrowa


Rys. Zbigniew Kiulin

— Teosiu, ten zając jest zepsuty!
— Napewno ten smarkacz musiał przy nim coś majstrować.



…wzroczna kucharka

Rys. Regina Kańska



Rys. Zbigniew Kiulin

— Chodźmy teraz na koncert?
— A czy nie uważasz, że dosyć na dzisiaj trąbienia?

Słynny w swoim czasie matematyk włoski, Inandi, pewnego razu odbywał w towarzystwie podróż z Rzymu do Civitaveccia. Wówczas jeszcze Kampania Rzymska była prawie pusta, to też niezadługo spotkali na drodze olbrzymie stado, w którym były owce, woły, konie, osły — wszystko pędzone na targ. Inandi rzucił okiem na stado i powieda:

— 1462 sztuki...

— O, ciekawym — jak pan to tak szybko obliczył?!

— Bardzo prosto — policzyłem nogi i sumę podzieliłem przez cztery.

Starsza pani zwiedza łódź podwodną. W pewnym momencie zwraca się do maynarza z zapytaniem:

— Proszę pana, a czy ta armata kiedy łódź idzie pod wodę nie zamoknie?

— O, nie, proszę pani, trzymamy nad nią parasol.

* * *

Czy to prawda mamusiu, że w Ameryce są domy wysokie na czterdzieści pięter?

— Nawet wyższe, moje dziecko.

— Ach, w takim domu chciałbym zjeżdżać po poręczy!

Wszystkim Czytelnikom i Sympatykom pomyślnego Nowego Roku

życzą

„Rózgi"



Rys. Zbigniew Kiulin

— Był pan już pod „Faszerowanym trupem"?

— No, jakże? Już parę dni tutaj jestem. Bajeczna knajpa!

— A w naszym muzeum?

— Kiedy? Przecież mówię, że jestem dopiero parę dni...

Na seansie spirytystycznym pre... „kółka" chce zyskać nowego adepta pana Hopsztyckiego, który po raz pierwszy znalazł się pomiędzy spirytystami i postanawia przywołać ducha jego zmarłej małżonki. Jednakże wszystkie wysiłki okazują się daremne.

— E, proszę panów — odzywa się. Hopsztycki — niech panowie się dalej nie trudzą, moja żona napewno nie przyjdzie—prawdopodobnie znowu nie ma się w co ubrać...

* * *

Dwaj młodzi Amerykanie zwiedzają w Paryżu muzeum. W pewnym miejscu natrafiają na szkielet człowieka przedhistorycznego, przy nim tabliczka z napisem: „X.O.P.".

— Słuchaj, Tom, nie domyślasz się, co to oznacza?

— No, a cóż może oznaczać? — pewnie numer samochodu, który go przejechał...

* * *

Pan Wąsik z żoną wybrał się do Zakopanego. Idzie w góry na dalszą wycieczkę. Po czterech godzinach marszu w czasie którego Wąsik ustawicznie zachwyca się pięknością krajobrazu, a małżonka narzeka na zmęczenie, osiągnęli wreszcie wysoki szczyt.

Pan Wąsik zachwycony krajobrazem woła:

— Spójrz Kiociu, jak piękna dolina rozciąga się u stóp tych gór, jakie piękne wioski, albo ten strumyczek i ten lasek i ta łączka i te pasące się owieczki... patrz jak tam w dole pięknie!

Pani Wąsikowa nie podziela zachwytu swego męża.

— Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego, jeżeli tam jest tak pięknie, tyś mnie wlókł aż tutaj przez cztery godziny, trzeba było tam zostać!



Rys. Regina Kańska

Kiepski wariat...

W r. [illegible] głośny był w Anglii zamach na niepopularnego króla Jerzego III wykonany zresztą bezskutecznie przez Małgorzatę Nichdson, nożem stołowym... Na drugi już dzień na drzwiach jednej z restauracji londyńskich można było odczytać napis:

„Tu jest do obejrzenia widelec stanowiący parę z nożem, którym Małgorzata Nichdson chciała zamordować króla...!"

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 2?2-57
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Zwirki 17, tel. 206-42
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej.
D 0111…